CZWARTEK

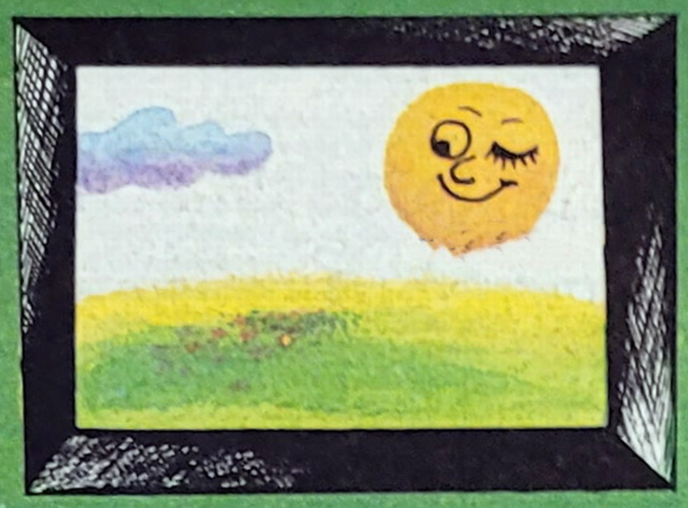

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 44 13 KWIETNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Konie stanowiły ulubiony temat wielu polskich wybitnych artystów-malarzy. Przedstawiali je kiedyś na swych płótnach Aleksander Orłowski, Piotr Michałowski i Artur Grottger. Później ich portrety wykonywał znakomity znawca tych zwierząt Juliusz Kossak. Współcześnie, mimo iż konie nie odgrywają już tej roli co dawniej stanowią nadal motyw główny wielu obrazów i grafik Michała Byliny, Ludwika Maciąga czy Bogdana Kamińskiego. Ilustracja zamieszczona obok jest fragmentem obrazu wielkiego malarza francuskiego Eugeniusza Delacroix. Dziś na str. 6 drukujemy na specjalne życzenie wielu Czytelników artykuł przedstawiający „sprawę końską" z punktu widzenia fachowców od hodowli.

Fot. archiwum

KIERUNEK BUDOWA

Uwaga, drużyny i szczepy harcerskie!

Uwaga, samorządy szkolne!

Dziś na str. 4–5 drukujemy plakat z adresami szkół budowlanych ze Śląska i województwa stołecznego. Wywieście plakat na szkolnym korytarzu lub w klasach. To może być bardzo ważna informacja dla Waszych kolegów z ósmych kłas.

SAHARA KWITNĄCYCH OGRODÓW?

(Inf. wł.) Liczne odkrycia archeologiczne, jakich dokonano ostatnio na terenie Sahary świadczą o tym, że ta ogromna dziś pustynia była niegdyś krainą porośniętą bujną roślinnością. Znalezione rysunki wyryte w skalnych jaskiniach, ruiny prastarych osad to ślady odległej przeszłości, kiedy mieszkańcy Sahary zajmowali się polowaniem, a nawet... rybołówstwem. Zmiany klimatyczne przekształciły ten obszar świata w kraj suchych piasków i wówczas ludzie musieli opuścić swe domostwa. Odkrycia te zainspirowały geologiczne badania Sahary. Ich rezultaty potwierdziły obraz przeszłości pustyni. Głęboko pod warstwami piasku odkryto słodkowodne jeziora. Eksperci międzynarodowej organizacji UNESCO są zdania, że przynajmniej część Sahary można przywrócić do życia.

(mh)

TRZECI RADZIECKI LODOŁAMACZ ATOMOWY „SYBERIA" WYRUSZYŁ W SWĄ PIERWSZĄ PODRÓŻ

MURMAŃSK (PAP). Północną Drogą Morską – z Murmańska na półwysep Jamał udał się trzeci radziecki lodołamacz o napędzie atomowym – „Syberia". Okrętem dowodzi kapitan Władimir Koczerkow, który pod koniec lat 50-tych pływał na pierwszym w ZSRR i w świecie statku tego typu – atomowym lodołamaczu „Lenin".

„Syberia", której towarzyszy drugi lodołamacz o napędzie dieselowsko-elektrycznym – „Kapitan Sorokin", prowadzi dwa statki towarowe z ładunkiem dla budowniczych z kombinatu „Komigazprom", zagospodarowujących złoża ropy naftowej i gazu ziemnego na dalekiej północy. **(jd)**

Jak było w Bieszczadach

KRASNYSTAW (HSI). Szczep HSPS im. Hanki Sawickiej przy Liceum Ogólnokształcącym w Krasnymstawie zorganizował akcję mającą na celu popularyzowanie Operacji „Bieszczady – 40". Odbyło się spotkanie z harcerzami, którzy w tym roku po raz pierwszy wyjadą w Bieszczady. Wykonano gazetkę fotograficzną prezentującą pracę harcerzy, a także ich odpoczynek. Na mapie Bieszczad pokazano rozlokowanie stanic poszczególnych chorągwi. O tym, co na co dzień dzieje się w Bieszczadach dowiedziano się z pisma „Stanica", które wydawane jest podczas trwania Operacji.

Leszek Werenko

Co słychać u przyjaciół?

KTO WIE NAJWIĘCEJ?

(CSRS). Niedawno pionierzy z Wędryni zorganizowali wystawę korespondencji, zabawek i podarunków, otrzymanych od radzieckich pionierów. Wśród wystawionych eksponatów znalazły się ruskie matroszki, czasopisma, widokówki, albumy, monety, wyroby z drzewa. W kilka dni później odbył się konkurs wiedzy o ZSRR. Pytania dotyczyły historii, geografii i kultury Kraju Rad. Najlepiej spisały się trzyosobowe reprezentacje klasy VII i VIII. **(ach)**

II ETAP SZTAFETY OLIMPIJSKIEJ

GIDŁO (HSI). Harcerki i harcerze z hufca w Gidle zrealizowali już wiele zadań II etapu „Sztafety Olimpijskiej – Moskwa 80". Urządzili kącik sportowy w szkole, wystawę książek o tematyce sportowej, konkurs pn. „Sport na znaczkach" i wiele innych. Organizują też biegi przełajowe i patrolowe, a ponad stu harcerzy zdobyło już Powszechną Odznakę Sportową. **(mt)**

UWAGA! IDZIE LAWINA

ZSRR (PAP). Radzieccy hydrometeorolodzy opracowali urządzenie, które, być może w przyszłości, uratuje wielu ludzi od śmierci. Czujniki umieszczone pod ziemią w rejonach górskich rejestrują dość dokładnie ruchy sejsmiczne wielkich mas śniegu. Sygnały przekazywane są do stacji odbiorczych, które z kolei włączają specjalny świetlny system ostrzegawczy zainstalowany przy drogach i w miejscach najbardziej zagrożonych białym niebezpieczeństwem. **(mh)**

O tym warto wiedzieć:

FSZMP

To było pięć lat temu. 11 kwietnia 1973 roku, w Warszawie zebrali się członkowie prezydiów zarządów głównych ZMS, ZSMW, SZSP, Głównej Kwatery ZHP oraz Rady Młodzieżowej Wojska Polskiego, aby wybrać pierwsze władze Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, przyjąć „Deklarację programową" i „Statut FSZMP". Wcześniej, na swych zjazdach, poszczególne związki młodzieży zaakceptowały powstanie Federacji widząc w niej możliwość zespolenia ruchu młodzieżowego w realizacji wspólnych celów: „kształtowania wśród młodzieży socjalistycznej świadomości społecznej – upowszechniania wiedzy marksistowsko-leninowskiej, rozwijania poczucia współodpowiedzialności za Polskę, budzenia gotowości służenia jej rozwojowi i dobremu imieniu, umacniania wiary w swój naród i swoją socjalistyczną Ojczyznę".

Do zadań Federacji należy m. in. ustalenie podstawowych kierunków działania polskiego ruchu młodzieżowego, podejmowanie i reprezentowanie problemów i interesów ogólnomłodzieżowych, określanie głównych kierunków aktywności społeczno-gospodarczej oraz reprezentowanie ruchu młodzieżowego na forum międzynarodowym.

Ustalono tereny działania poszczególnych organizacji wśród młodzieży pracującej, studiującej i uczącej się. ZHP stał się organizacją uczącej się młodzieży w szkołach podstawowych i średnich. Przed Kongresem Młodzieży Polskiej, który odbył się 30 kwietnia 1976 roku doszło do połączenia organizacji młodzieżowych działających w mieście, na wsi i w wojsku w jeden Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

FSZMP reprezentuje od tego czasu prawie 6 milionów młodych Polaków zrzeszonych w ZSMP, SZSP i ZHP. Na Kongresie była pierwsza okazja, aby podsumować dotychczasowy dorobek Federacji oraz ustalić nowe zadania wynikające z planów rozwoju kraju podjętych przez PZPR.

Federacja kieruje Ochotniczymi Hufcami Pracy, które przyczyniają się do przyspieszenia wykonania wielu inwestycji; młodzi robotnicy objęli patronat nad budownictwem mieszkaniowym; powstał Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży, organizowane są turnieje dla najlepszych młodych rolników, techników itp. Członkowie wszystkich organizacji biorą udział we współzawodnictwie „Mój sukces socjalistycznej Ojczyźnie". Razem można zrobić więcej! (pas)

Sztuka XX wieku (1)

NA CO DZIEŃ, CZY OD ŚWIĘTA?

Kto z nas nie wie, ile kosztuje mały Fiat, jak ma na imię kpt. Kloss, kim jest Grzegorz Lato? Lecz na pytania: czym różni się pop-art od op-artu, co to jest happening, environment, czy konceptualizm potrafi odpowiedzieć już znacznie mniej osób. Sztuka dzisiaj – nie tylko zresztą ta najnowsza – interesuje bowiem jedynie wąski krąg znawców. Wielu na jej dzieła patrzy jak cielę na malowane wrota – jeśli w ogóle zaszczyci je spojrzeniem.

A przecież organizuje się wciąż nowe wystawy i muzea sztuki, uczy się o niej w szkole, kręci filmy (mamy nawet ich festiwal), popiera twórczość plastyków amatorów. Prawda, że wystaw jest nadal za mało, że brakuje dobrych reprodukcji, że większość poświęconych sztuce lekcji i najróżniejszych wykładów uczy nie tyle jej rozumienia, co cech jej stylów na pamięć. Próby przedstawienia plastyki w telewizji również rzadko bywają udane, a kolorowy magnetowid, czy choćby komplet przeźroczy w każdej szkole i świetlicy, ciągle jest „pieśnią przyszłości". Być może też przyczyną tzw. wyobcowania sztuki jest „zamykanie jej w muzeach i albumach" – jak mówią zwolennicy nowych form jej upowszechniania poprzez aranżowanie np. wystaw i rozmaitych „wydarzeń artystycznych" na dworcach kolejowych i zatłoczonych ulicach. Ale ja na takim wyjaśnieniu bym nie poprzestawał.

„Niejeden szlachcic widział Apollina
I skopasową Milejską Wenerę,*
A wyprowadzić nie umie komina,
W ogrodzie krzywo zakreśla kwaterę;
– Budując śpichlerz często zapomina,
Że użyteczne nigdy nie jest samo,
Że piękne – wchodzi nie pytając bramą!"

– ubolewał w XIX-wiecznym poemacie „Promethidion" Cyprian Kamil Norwid, który naszą sztukę chciał widzieć *„jako chorągiew na prac ludzkich wieży"* i którego hasła pochwyciło założone w 1901 r. w Krakowie Towarzystwo Polskiej Sztuki Stosowanej. I co? A to, że choć od tamtych czasów wiele się zmieniło, nadal otacza nas na co dzień morze szpetoty. Nadal ludzie podejmujący na różnych szczeblach decyzje o kształcie naszej rzeczywistości – choć wiersz Norwida wkuwali w szkole – oddzielają piękno od użyteczności, celom artystów przeciwstawiają cele gospodarki, twórczości artystycznej – produkcję przemysłową. I wciąż potrzebne są akcje pod hasłem „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką".

W naszej kulturze pokutuje bowiem wyraźny podział na „pracę" i „święto" lub „czas wolny" – tak, jakbyśmy pracowali wbrew własnej woli, jakby twórcza praca nie była naszym konstytucyjnym przywilejem. Podział ten uwidacznia się w powiedzeniu kolegi „ty się nie baw, a pisz!" – gdy się cieszę z wymyślenia dowcipnego tytuliku do artykułu. To także „biała izba" w wiejskiej chacie z równo ułożoną piramidą poduszek obok „czarnej" kuchni i rozpadającego się chlewa. To „salon" do przyjmowania gości z imponującymi meblami w dwupokojowym mieszkanku, gdzie brak miejsca na zwykłe domowe zajęcia i na kąt do odrabiania lekcji. To również fakt, iż pracować możemy w bałaganie, brudzie, w łachmanach, że produkować możemy buble obrażające nasz gust, – ale „od święta" stroimy się, sprzątamy, zapraszamy artystów na akademię, idziemy do muzeum.

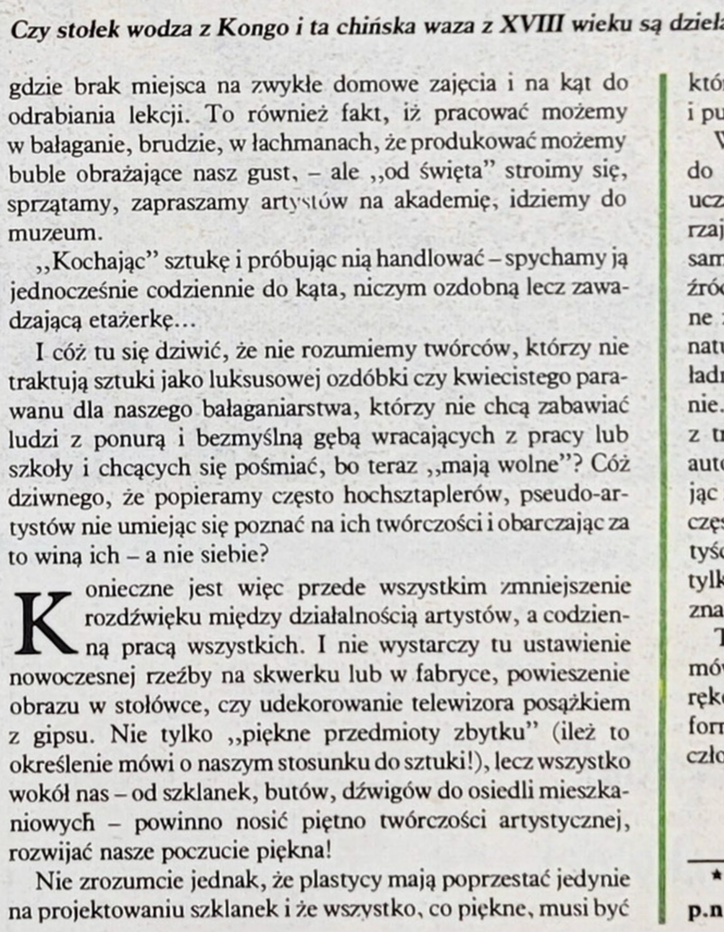

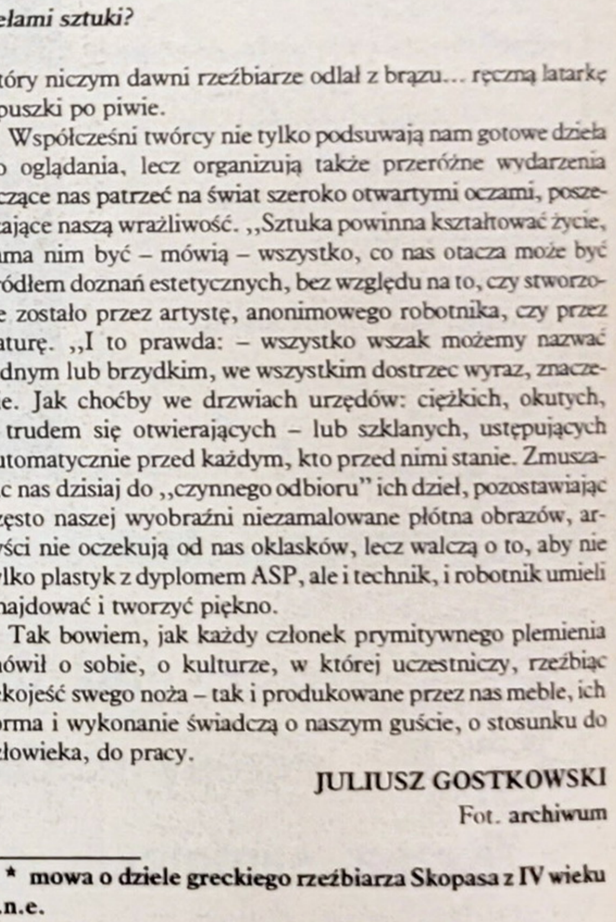

Czy stołek wodza z Kongo i ta chińska waza z XVIII wieku są dziełami sztuki?

„Kochając" sztukę i próbując nią handlować – spychamy ją jednocześnie codziennie do kąta, niczym ozdobną lecz zawadzającą etażerkę...

I cóż tu się dziwić, że nie rozumiemy twórców, którzy nie traktują sztuki jako luksusowej ozdóbki czy kwiecistego parawanu dla naszego bałaganiarstwa, którzy nie chcą zabawiać ludzi z ponurą i bezmyślną gębą wracających z pracy lub szkoły i chcących się pośmiać, bo teraz „mają wolne"? Cóż dziwnego, że popieramy często hochsztaplerów, pseudo-artystów nie umiejąc się poznać na ich twórczości i obarczając za to winą ich – a nie siebie?

Konieczne jest więc przede wszystkim zmniejszenie rozdźwięku między działalnością artystów, a codzienną pracą wszystkich. I nie wystarczy tu ustawienie nowoczesnej rzeźby na skwerku lub w fabryce, powieszenie obrazu w stołówce, czy udekorowanie telewizora posążkiem z gipsu. Nie tylko „piękne przedmioty zbytku" (ileż to określenie mówi o naszym stosunku do sztuki!), lecz wszystko wokół nas – od szklanek, butów, dźwigów do osiedli mieszkaniowych – powinno nosić piętno twórczości artystycznej, rozwijać nasze poczucie piękna!

Nie zrozumcie jednak, że plastycy mają poprzestać jedynie na projektowaniu szklanek i że wszystko, co piękne, musi być – w wąskim znaczeniu tego słowa – użyteczne. Bo w sensie szerokim użyteczna jest oczywiście każda „najczystsza" nawet sztuka. Służy przecież ludziom i wtedy, gdy umila im życie, i kiedy zadaje bolesne pytania o jego sens. W całych jej dziejach zresztą trudno oddzielić sztukę „czystą" od „użytkowej". Mówi się wprawdzie, że ta druga nie wyraża myśli i uczuć – ale jak potraktować np. starożytną wazę z rysunkiem przedstawiającym walkę mitycznych Tytanów, stołek w kształcie klęczącej postaci, czy zrodzoną z abstrakcyjnego malarstwa tkaninę zasłonową? Sztuka „czysta" zarazem dostarczając nam przeżyć wpływa też na kształt wystaw sklepowych i aut, ubiorów i czasopism – czy twórcy jej chcą tego, czy nie!

Artyści XX wieku – demonstrując choćby na wystawie obok rzeźb i obrazów przedmiot znaleziony na ulicy – podważają w ogóle sens ograniczenia myślenia o pięknie tylko do tradycyjnych dzieł sztuki. Tak też drwi z naszych przyzwyczajeń zmuszając nas do zastanowienia Jasper Johns, który niczym dawni rzeźbiarze odlał z brązu... ręczną latarkę i puszki po piwie.

Współcześni twórcy nie tylko podsuwają nam gotowe dzieła do oglądania, lecz organizują także przeróżne wydarzenia uczące nas patrzeć na świat szeroko otwartymi oczami, poszerzające naszą wrażliwość. „Sztuka powinna kształtować życie, sama nim być – mówią – wszystko, co nas otacza może być źródłem doznań estetycznych, bez względu na to, czy stworzone zostało przez artystę, anonimowego robotnika, czy przez naturę. „I to prawda: – wszystko wszak możemy nazwać ładnym lub brzydkim, we wszystkim dostrzec wyraz, znaczenie. Jak choćby we drzwiach urzędów: ciężkich, okutych, z trudem się otwierających – lub szklanych, ustępujących automatycznie przed każdym, kto przed nimi stanie. Zmuszając nas dzisiaj do „czynnego odbioru" ich dzieł, pozostawiając często naszej wyobraźni niezamalowane płótna obrazów, artyści nie oczekują od nas oklasków, lecz walczą o to, aby nie tylko plastyk z dyplomem ASP, ale i technik, i robotnik umieli znajdować i tworzyć piękno.

Tak bowiem, jak każdy członek prymitywnego plemienia mówił o sobie, o kulturze, w której uczestniczy, rzeźbiąc rękojeść swego noża – tak i produkowane przez nas meble, ich forma i wykonanie świadczą o naszym guście, o stosunku do człowieka, do pracy.

JULIUSZ GOSTKOWSKI

Fot. archiwum

Czym jest dzieło sztuki pyta też ironicznie Amerykanin Jasper Johns, który w 1960 r. odlał z brązu i pomalował ten „pomnik" puszek po piwie

*** mowa o dziele greckiego rzeźbiarza Skopasa z IV wieku p.n.e.**

Upadek kolosów

Nowy Jork, San Francisko, Chicago, Waszyngton – oto symbole nowoczesności, miasta dobrobytu, najwyższych na świecie domów, niezwykle śmiałych rozwiązań architektonicznych. Tak myśli przeciętny Europejczyk, który Amerykę zna jedynie z fotografii. Tymczasem obraz wielkich miast amerykańskich wcale nie jest taki kolorowy. Wiem, że stwierdzenie to szokuje, że nie pasuje do powszechnego wyobrażenia. Stany Zjednoczone są krajem wybitnie zurbanizowanym, w miastach żyje 70 proc. społeczeństwa. Jest to przecież objaw wysokiego rozwoju. Jednakże od początku lat pięćdziesiątych z wielkimi miastami amerykańskimi zaczęło się dziać coś dziwnego. Wokół gigantów wyrastać poczęły tzw. suburbia – szczególna forma przedmieść. Stanowią one odrębne jednostki administracyjne, gospodarcze i kulturalne. Suburbia otaczające miasta przypominają jakby narośla żywiące się sokami czerpanymi z pnia, na którym wyrosły.

W ciągu minionych 20 lat na przedmieścia wyprowadziła się większość zamożnych obywateli. W ślad za nimi wywędrował handel, przemysł, a także usługi, szkoły, szpitale. Do opuszczonych dzielnic śródmiejskich napłynęła zaś ludność biedna, szczególnie murzyńska. Nic też dziwnego, że wielkie miasta zaczęły podupadać, biednieć i z każdym rokiem stawały się coraz bardziej brudne i... niebezpieczne. W śródmieściach utrzymuje się największe bezrobocie, panuje największa przestępczość, najwyższy wskaźnik zachorowalności i śmiertelności oraz najniższy poziom higieny i opieki lekarskiej. Razem bowiem z odpływem ludności bogatej, odpłynęły z miast kapitały. Kasy miejskie świecą po prostu pustkami, gdyż dochody z podatków gromadzą się teraz głównie w suburbiach.

Nie wdając się w analizę przyczyn, dla których bogaci Amerykanie uciekli z miast na peryferie – na pewno nie małą rolę odegrał zakorzeniony w społeczeństwie rasizm, niechęć białych do ludności murzyńskiej – faktem jest, że powstała sytuacja jest bardzo groźna. Nastąpił faktyczny podział społeczeństwa na biednych i bogatych, przy czym biedni z każdym rokiem stają się coraz biedniejsi, a zamożni jeszcze bardziej bogatsi. Doprowadza to do napięć społecznych, których skutki na dłuższą metę trudno nawet przewidzieć. Stąd też już za czasów prezydentury Johnsona administracja waszyngtońska usiłowała coś zrobić, aby powstrzymać upadek miast. Niestety, wysiłki te okazały się nieskuteczne.

Do dzieła odbudowy wielkich aglomeracji zabrał się również obecny prezydent Carter. Jeszcze w czasie kampanii wyborczej obiecywał, że przedstawi program ratowania starych miast. I rzeczywiście pod koniec marca br. program taki ogłosił. Zakłada on, że do ratowania miast włączyć się powinny – oprócz rządu federalnego – władze stanowe, miejskie, a także prywatny przemysł i handel, różne organizacje społeczne oraz sami mieszkańcy aglomeracji miejskich. Program Cartera zapowiada: po pierwsze – prowadzenie na wielką skalę inwestycji budownictwa mieszkaniowego i społecznego oraz renowację starych dzielnic śródmiejskich, które dziś znajdują się w opłakanym stanie; po drugie – likwidację bezrobocia poprzez nowe inwestycje; po trzecie – zapewnienie ludności miejskiej znośnych warunków życia i bezpieczeństwa.

Realizacja tego programu wymagać będzie ogromnych sum pieniężnych, mniej więcej 11 miliardów dolarów rocznie. Tak wyliczyli swoje potrzeby burmistrzowie wielkich aglomeracji. Tymczasem rząd federalny może przeznaczyć na ten cel zaledwie 3 miliardy, resztę, według projektu Cartera, dostarczyć powinien prywatny przemysł. Powinien, nie znaczy jeszcze, że musi. Wszystko zależeć będzie od decyzji Kongresu, który projekt może odrzucić jako... nierealny. Los wielkich miast amerykańskich nadal więc jest niepewny.

St. BOROWIECKI

Z Kijowa do Zabrza – historia pewnego listu

Ewa Pogiel była wtedy uczennicą pierwszej licealnej w Zabrzu. A że była już wcześniej harcerką, i to niezłą, wysłano ją na kurs drużynowych do Ośrodka Harcerskiego w Chorzowie. Kurs, jak kurs, pewnie niewiele by już dziś o nim mogła powiedzieć, gdyby nie listy, a właściwie jeden list.

Na zakończenie kursu komendant Szkoły Instruktorskiej wręczył każdemu kilka, kilkanaście listów od pionierów z ZSRR. „Macie drużyny – mówił – rozdajcie je wśród harcerzy, niech nawiążą korespondencję. Może coś z tego ciekawego wyniknie". Być może – pomyślała Ewa i przyjechała z listem do Zabrza. W domu z ciekawości otwierała po kolei listy adresowane do Domu Harcerza w Polsce. Ciekawe, co piszą pionierzy, o co proszą, o czym informują... Listy w zasadzie były podobne do siebie: mam tyle i tyle lat, nazywam się, mieszkam, interesuje mnie to i tamto...

Aż tu nagle list zupełnie inny, z Kijowa. Już po charakterze pisma widać, że nie od dziecka. Ewa razem z ojcem przetłumaczyła: *„Zwracam się z wielką prośbą do polskich harcerzy o pomoc w odszukaniu grobu ojca. On był ranny i zmarł od ran 1 listopada 1944. Pochowany jest w województwie warszawskim, w makowskim powiecie, na dywizyjnym cmentarzu we wsi Boby. Nazywa się Szostik Daniił Nikiforowicz".* List podpisała córka Galina.

Takiego listu Ewa się nie spodziewała. Ale co robić? Przecież nie odpisze, że z Zabrza do Makowa Mazowieckiego daleko, że tymi sprawami zajmuje się Czerwony Krzyż, że nie bardzo wie, jak się do tego szukania zabrać. Napisała więc do Czerwonego Krzyża, skąd po kilkunastu dniach otrzymała odpowiedź, aby zwrócić się do Urzędu Miejskiego w Makowie Mazowieckim. Była to już jakaś wskazówka, jednak zbyt mała, aby donieść o tym Szostik Galinie Daniłownej.

Na list skierowany do Makowa Mazowieckiego odpowiedź przyszła szybko: prosimy zwrócić się do... Polskiego Czerwonego Krzyża. Właściwie poszukiwania mogła w tym miejscu zakończyć, koło się zamknęło. Spróbowała jednak jeszcze raz i napisała do Biura Informacji i Poszukiwań ZG PCK. Podobno do trzech razy sztuka... W wypadku Ewy powiedzenie sprawdziło się. Na swój trzeci list otrzymała wreszcie wiarygodną i pełną odpowiedź.

Nie ma już cmentarza we wsi Boby, bowiem zwłoki żołnierzy radzieckich, pochowane pierwotnie na terenie tej wsi, zostały po wojnie ekshumowane na cmentarz żołnierzy Armii Radzieckiej w Kleszewie koło Putluska. Pochowano ich w mogiłach zbiorowych nr 73, 74, 206, 209, 225. „Jakkolwiek nazwisko Szostik Daniił Nikiforowicz nie figuruje w imiennej ewidencji podanego cmentarza – pisze na zakończenie kierownik Biura Informacji i Poszukiwań PCK p. A. Sztenberkowa – należy przyjąć, że został on pochowany na cmentarzu w Kleszewie jako żołnierz nieznany".

Ewa i Galina Szostik

Był sierpień 1977 roku, gdy Ewa otrzymała to pismo. Błyskawicznie napisała o tym pani Galinie. O zakończeniu poszukiwań poinformował Galinę także Polski Czerwony Krzyż. Jeszcze szybciej nadeszło z Kijowa zaproszenie dla Ewy i jej rodziców. Ewa pojechać nie mogła, pojechali rodzice.

Jest luty 1978 roku. W domu Ewy gości pani Galina Szostik. Jest już tu czwarty dzień i jutro, gdy tylko ojciec Ewy wróci z delegacji, pojedzie razem z nim do Kleszewa. Po raz pierwszy od trzydziestu czterech lat złoży kwiaty na grobie ojca. *„Jestem bardzo szczęśliwa, bardzo – mówi – to wszystko dzięki Ewie. Myślałam, że nic już z tego nie będzie. Gdzie ja już nie pisałam. Do Czerwonego Krzyża, do radia, i nic. Dopiero harcerze mi pomogli. Jestem pielęgniarką w szpitalu i usłyszałam jak pacjenci mówili między sobą, że można w takich sprawach pisać do harcerzy. No to napisałam i nie zawiodłam się..."*

Po kilkudziesięciu latach udało się wspólnymi siłami odnaleźć to, co wydawało się stracone bezpowrotnie. Pani Galina ma od tej pory jeszcze jedno miejsce związane z pamięcią ojca, o którym starszy sierżant Ławosznik tak po raz ostatni pisał w zawiadomieniu o śmierci: *„Wasz mąż, Szostik Daniił Nikiforowicz, w boju za Socjalistyczną Ojczyznę, wierny wojskowej przysiędze, przejawił bohaterstwo i męstwo. Był ranny i umarł od ran 1.XI.1944 roku"*

MARIAN TWARÓG

Fot. **autor**

OGIEŃ W PIECACH PŁONIE BEZ PRZERWY

Konferencyjny stół w dyrektorskim gabinecie nie dziwi nikogo. Jest tak samo niezbędny jak tablica w klasie szkolnej czy maszyna do pisania na biurku dziennikarza. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

Ale stół w gabinecie dyrektora wałbrzyskiej Huty Szkła Budowlanego jest naprawdę wyjątkowy, bo wykonano go w całości z gładkiego, przeźroczystego szkła. Jak to – powiecie – szklany stół i do tego taki wielki? Na co to komu? Przecież ani oprzeć się o niego nie można, ani nic ciężkiego postawić, bo porysuje się lub pęknie.

Otóż nie, nie pęknie, bo nie jest to zwykła szyba tylko gruba na kilka centymetrów szklana płyta. Bez obawy stawiam więc na tym niezwykłym stole swoją ciężką, wypchaną torbę i zaczynam rozglądać się wokoło. Na lśniącym blacie stoją cegły różnych kolorów i kształtów, leży kilka wzorzystych płytek, piętrzy się niewielki stos drobnych kolorowych kosteczek vitro-mozaiki.

Wszystko ze szkła

Wynaleziono je już w starożytności, ale oszałamiająca kariera tego ogromnie efektownego materiału rozpoczęła się niezbyt dawno, a w budownictwie jest jeszcze krótsza. Wystarczy spojrzeć na często sąsiadujące ze sobą budynki z ubiegłych wieków i najnowsze drapacze chmur, aby się o tym przekonać. Dawniej „szklono" tylko z konieczności – tyle, żeby wpuścić do wnętrza trochę światła. Jedynie prawdziwie magnackie rezydencje miały duże okna. Zresztą po wielkości okien przez długie wieki poznawało się zamożność domów.

Dziś szkło jest „szlagierem" nowoczesnego budownictwa. Ot, choćby Ściana Wschodnia czy Dworzec Centralny w Warszawie. Podobnie jest na całym świecie.

Szkło weszło tak gwałtownie w życie niektórych krajów, że ich własna produkcja nie nadąża za zapotrzebowaniem. Dlatego muszą importować. Na przykład z Polski.

Z Wałbrzycha w świat

Na ścianie nad dyrektorskim biurkiem wisi olbrzymia mapa. Kolorowe nitki łączą Wałbrzych z najróżniejszymi zakątkami kuli ziemskiej. Nie są to jednak bezpośrednie połączenia lotnicze lecz kierunki, w których wałbrzyskie szkło wędruje do zagranicznych odbiorców. Ich lista jest długa – Wielka Brytania, NRD, Czechosłowacja, Szwecja, Honduras, Gwatemala, Sudan, Maroko, nawet Hongkong. Ale dyrektor Borowski mówi, że od czasu, kiedy opracowywano tę mapę, wiele się już w eksporcie zmieniło. Niektóre nitki powinno się usunąć, a dodać nowe: do Nigierii, Holandii, Peru.

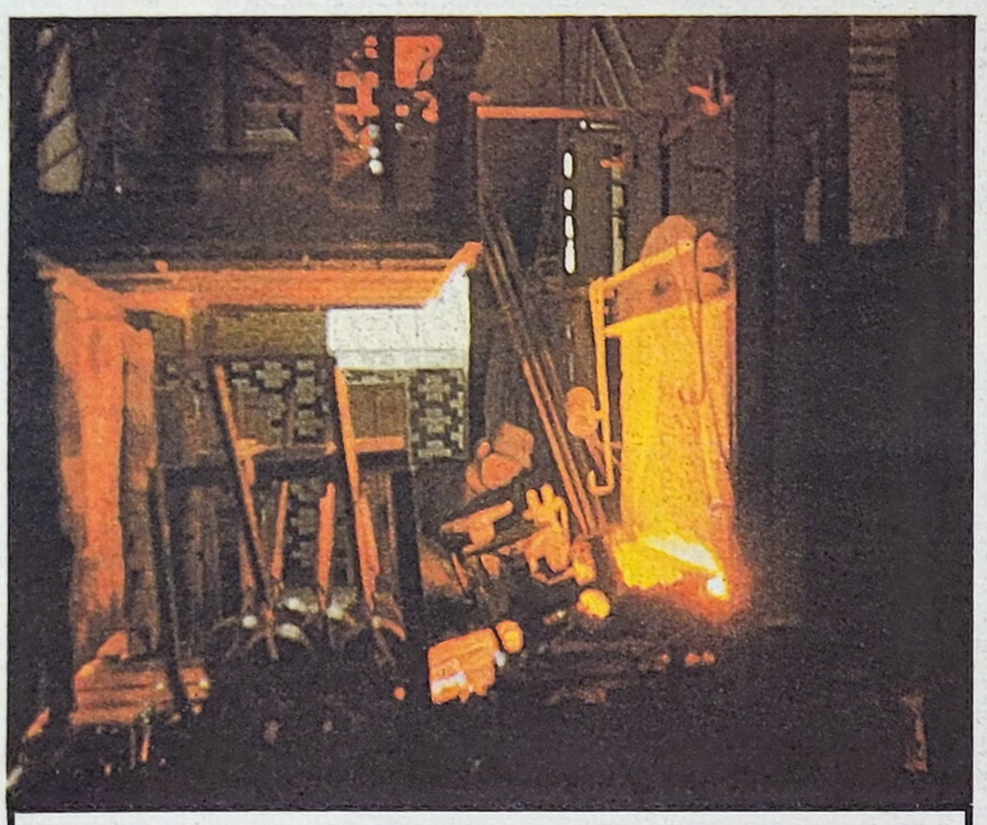

Słoiki zamiast szyb?

Zmiany dotyczą nie tylko eksportu. Teraz – huta właściwie związana jest z budownictwem, a tu rusza linia wytwarzania słoików. Cóż jednak robić, kiedy surowca zabrakło i produkcja vitro-mozaiki spadła o 40 procent.

Z vitro-mozaiką ciągle były jakieś kłopoty. Produkcję rozpoczęli w 1974 roku, ale przez pierwsze lata nikt się nią nie interesował, choć zastosowań dla niej nie brakuje, a z 49 odcieni, które robią, naprawdę piękne wzory można ułożyć. Reklamowali ją wytrwale – w prasie, w telewizji – i wreszcie coś się ruszyło. Przyszły wielkie zamówienia z fabryk domów. Już się wydawało, że to koniec kłopotów, kiedy zabrało kleju do nalepiania kostek na papierowe wstęgi – jak sobie życzy odbiorca. Produkcja spadła. Musieli zamknąć jedną linię. Ale piec nie może stać bezczynnie – wtedy ktoś wymyślił te słoiki. Będą więc słoiki z Huty Szkła Budowlanego...

Nie pierwszy to raz, kiedy coś łatają naprędce, coś wymyślają, żeby wysłać na czas. Często zamówienie jest wykonane, odbiorca niecierpliwi się, a towar leży w magazynie i czeka bo nie ma wagonów, żeby go przewieźć. Jak wagony są, to znowu kłopoty z załadowaniem, bo ludzi ciągle w hucie za mało.

W tym roku szkołę przyzakładową opuszczą pierwsi absolwenci, niewielu – tylko 25 osób. Borowski mówi, że jeszcze dziś zatrudniłby 50 ludzi. Tylko skąd ich wziąć?

Recepta na szkło

Bierze się piasek szklarski, wapień, sodę; miesza się w odpowiednich proporcjach, wrzuca do olbrzymiego pieca, topi w temperaturze 1500 stopni, a potem studzi. I to jest szkło.

Tyle to każdy potrafi. Prawdziwa sztuka zaczyna się dopiero później, gdy tę świeżo stopioną, gorącą masę trzeba przerobić na coś użytecznego. Może z tego wyjść szkło gładkie lub wzorzyste, przeźroczyste albo matowe, piękne rzeźbiony puchar albo szyba do drzwi czy płytki wykładzinowe do łazienki.

Ostateczny efekt zależy od tego... co się robi dalej.

Wchodzimy do wielkiej hali. Od pieców bije taki żar, że mimo kilkustopniowego mrozu na zewnątrz ludzie pracują tu w podkoszulkach, cali zlani potem. Piece nazywane tu „wannami szklarskimi" wyglądają jak wielkie, pękate, oplecione rusztowaniami beczki. Do każdej z nich podłączone są trzy taśmy produkcyjne.

Nie ma tu widowiskowej scenerii, która kojarzy się nam zwykle z hutą szkła. Nie ma wydmuchiwania bajkowych kielichów i wazonów z kropel płynnego szkła. Jest hałas maszyn i kłujący w oczy blask rozgrzewanej do czerwoności strugi, gęstej cieczy wypływającej z pieca.

Staję przy jednej z taśm, gdzie powstają tak zwane „luksfery" – zbudują z nich później szklane ściany do klatek schodowych, sal gimnastycznych, fabrycznych hal.

W otworze pieca pojawia się miękka, purpurowa kropla, która rośnie, pęcznieje, nadyma się jak balon. Automatyczne nożyce odcinają ją i wtłaczają w formę. Zaciska się prasa. Słychać ostry syk, buchają kłęby pary – i po chwili wyskakuje kwadratowa szklana płytka. Teraz stojąca obok kobieta bierze płytkę (nazywaną tu „wypraską") w specjalne szczypce i przenosi ją ciągle rozgrzaną do czerwoności – do spawarki. Znowu słychać syk – z dwóch wyprasek powstaje jeden „luksfer", który wędruje na przenośnik – i dalej w ręce pakowaczek.

W międzyczasie w otworze pojawiła się druga szklana kropla, po niej jeszcze jedna i następna... Maszyny pracują rytmicznie. Nieprzerwanie.

Podchodzę do drugiego pieca. Szkło – już barwione i ostudzone, ale ciągle jeszcze plastyczne – przechodzi pod specjalnym wałkiem, który wyrysowuje na szklanym pasie siatkę drobniutkich kwadracików. Potem następny wałek leciutko naciska na wstęgę – słyszę delikatny chrzęst – i do podstawionego pojemnika sypią się małe kosteczki vitro-mozaiki. Jeśli która pęknie lub ma nierówne brzegi – wraca do pieca – topi się i znów przechodzi przez taśmę. Straty są więc niewielkie.

Szklana wstęga

Na oddziale szkła walcowanego czerwony, szeroki na ponad metr strumień gorącej masy przechodzi od razu przez walcarkę, która wytłacza na nim fantazyjne wzory. To szkło powędruje do fabryk domów i będzie wstawione w drzwi.

Ze zdumieniem dowiaduję się, że do naszych mieszkań trafią – niestety – najprostsze, najbanalniejsze wzory. Z tych najbardziej bajecznych, najładniejszych nasze budownictwo zrezygnowało. Powędrują więc za granicę.

Przechodzimy jeszcze przez kilka hal. Ludzie pracują w grubych ochronnych rękawicach. Trzeba bardzo uważać – w razie „stłuczki" odłamki mogą pokaleczyć. Ale kto trochę przy szkle popracuje, szybko nauczy się z nim obchodzić. Tylko mnie wydaje się niemożliwe, że szklane płyty można tak przenosić i przestawiać, jakby były z drewna.

Wieczny ogień

Gdy wychodzimy z ostatniej hali, jest godzina 14 – koniec pierwszej zmiany. Do pracy spieszy następna – i zostanie w hucie do 22, do przyjścia nocnej zmiany.

Ogień w piecach płonie bez przerwy.

KATARZYNA SZERMAŃSKA

Fot. **autorki i J. Łopuszyński**

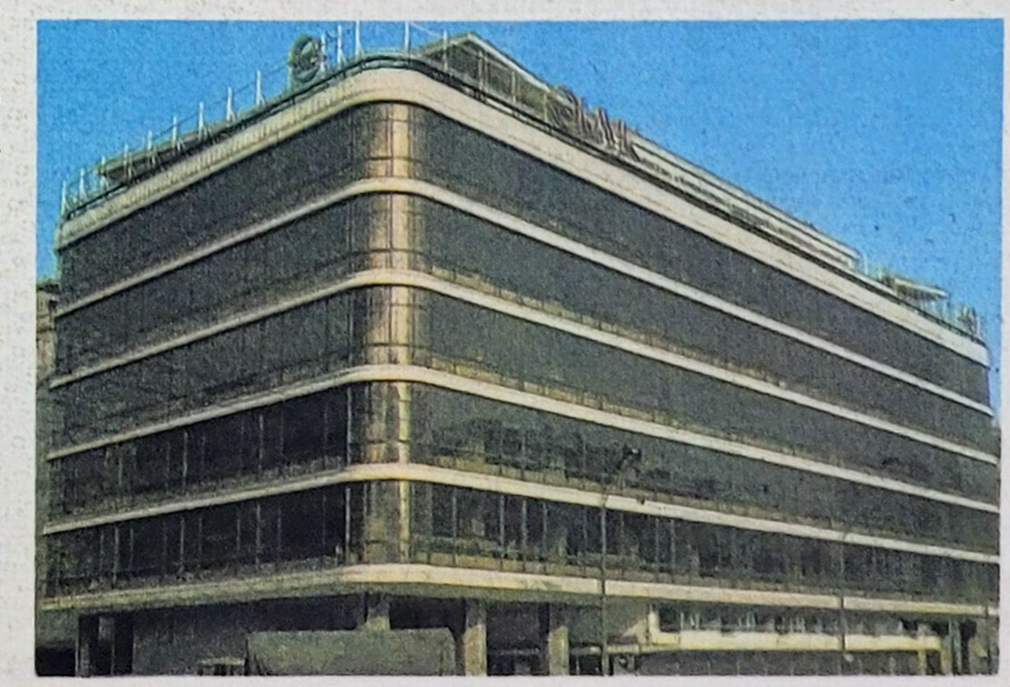

Zasadnicze Szkoły Budowlane kształcą w zawodach:

- betoniarz-zbrojarz
- blacharz-dekarz
- cieśla
- elektromonter
- elektromonter urządzeń dźwigowych
- kierowca-mechanik
- malarz budowlany
- mechanik maszyn budowlanych
- monter konstrukcji żelbetowych
- monter konstrukcji stalowych
- monter rurociągów przemysłowych
- monter wewnętrznych instalacji budowlanych
- monter zewnętrznych instalacji budowlanych
- murarz-tynkarz
- posadzkarz
- ślusarz-spawacz

Uczniowie otrzymują:

- zakwaterowanie
- mundur wyjściowy
- ubranie robocze i ochronne
- posiłki wzmacniające
- narzędzia pracy do nauki zawodu
- wynagrodzenie miesięczne w gotówce

Ponadto uczniowie mogą korzystać z:

- letnich i zimowych obozów wypoczynkowych
- zakładowego funduszu nagród
- zakładowego funduszu socjalnego i mieszkani

Nauka w szkołach prowadzona jest przy zasto nowoczesnych metod nauczania np. telewizji przen oraz innych środków audiowizualnych.

Zgłoś się do wybranej szkoły lub prześlij nas dokumenty:

- świadectwo ukończenia szkoły podstawowej
- podanie
- życiorys
- wypis z dowodu osobistego rodziców lub metr
- 2 fotografie
- szkolną kartę zdrowia.

NAUKA -PRACA CZEKA NA CIEBIE W SZKOŁACH BUDOWLANYCH

SZKOŁY ZJEDNOCZENIA BUDOWNICTWA „WARSZAWA"

★ 1. Zespół Szkół Budowlanych nr 1
01–452 WARSZAWA, ul. Księcia Janusza 45/47, tel. 36–17–71
★ 2. Zespół Szkół Budowlanych nr 2
02–697 WARSZAWA, ul. Rzymowskiego 38, tel. 43–19–95
3. Zasadnicza Szkoła Zawodowa Przyzakładowa nr 3
01–402 WARSZAWA, ul. Erazma Ciołka 10a, tel. 36–01–02

SZKOŁY MAZOWIECKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWNICTWA UPRZEMYSŁOWIONEGO

★ 4. Zespół Szkół Budowlanych
05–530 GÓRA KALWARIA, ul. Budowlana 14, tel. 56–70–21 wew. 239
5. Zasadnicza Szkoła Zawodowa Przyzakładowa
05–800 PRUSZKÓW, ul. Promyka 24/26, tel. 58–63–76
★ 6. Zasadnicza Szkoła Zawodowa Przyzakładowa
05–120 LEGIONOWO, ul. Kordeckiego 19, tel. 74–33–04
★ 7. Zasadnicza Szkoła Zawodowa Przyzakładowa
05–200 WOŁOMIN, ul. Świerczewskiego 38, tel. 76–39–57
★ 8. Zasadnicza Szkoła Zawodowa Przyzakładowa Kombinatu Budownictwa Miejskiego Warszawa–Południe, 01–170 WARSZAWA, ul. Młynarska 43/45 tel. 32–46–01

SZKOŁY ŚLĄSKIEGO ZJEDNOCZENIA BUDOWNICTWA MIEJSKIEGO

★ 1. Zespół Szkół Budowlanych
41–506 CHORZÓW, ul. Narutowicza 5, tel. 413–475
★ 2. Zespół Szkół Budowlanych
42–200 CZĘSTOCHOWA, ul. ZWM 16, tel. 316–41
★ 3. Zespół Szkół Budowlanych
44–300 WODZISŁAW ŚL., ul. Pszowska 64, tel. 526–24
★ 4. Zespół Szkół Budowlanych
42–400 ZAWIERCIE, ul. Popieralskiego 7, tel. 225–83
★ 5. Zasadnicza Szkoła Budowlana
43–300 BIELSKO-BIAŁA, ul. PKWN 43, tel. 216–31
★ 6. Zasadnicza Szkoła Budowlana
41–900 BYTOM, ul. Skrajna 14a, tel. 813–160
★ 7. Zasadnicza Szkoła Budowlana
41–300 DĄBROWA GÓRNICZA, ul. Wybickiego 1, tel. 624–821
★ 8. Zasadnicza Szkoła Budowlana
44–100 GLIWICE, ul. Żwirki i Wigury 85, tel. 322–056
★ 9. Zasadnicza Szkoła Budowlana
32–510 JAWORZNO, ul. Szopena 40, tel. 35–81
★ 10. Zasadnicza Szkoła Budowlana
40–326 KATOWICE, ul. Techników 7, tel. 569–617
★ 11. Zasadnicza Szkoła Budowlana
32–300 OLKUSZ, ul. Nowotki, tel. 304–60
12. Zasadnicza Szkoła Budowlana
47–400 RACIBÓRZ, ul. Fornalskiej 6, tel. 29–63
★ 13. Zasadnicza Szkoła Budowlana
43–100 TYCHY, ul. Engelsa 11a, tel. 273-481
★ 14. Zasadnicza Szkoła Budowlana
41–807 ZABRZE-MIKULCZYCE, ul. Zwrotnicza 11, tel. 716–119

*) szkoły oznaczone gwiazdkami posiadają internaty

KIERUNEK BUDOWA

K-96

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

MOJA KOLEKCJA (15)

„IRADAM" z roku 1925

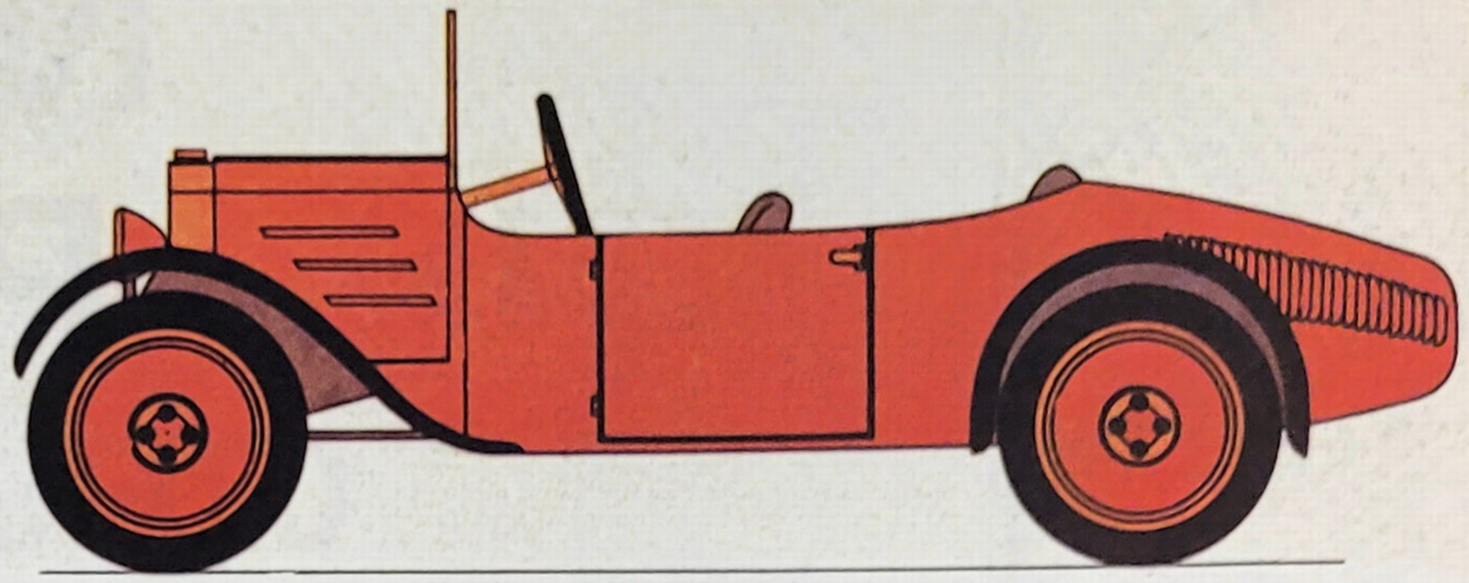

W latach dwudziestych wytwórnie motoryzacyjne całej Europy kierowały swe zainteresowania na budowę mini-samochodów. Również w Polsce powstały wtedy bardzo interesujące pod względem konstrukcyjnym pojazdy tego typu.

Samochodzik inżyniera Mrajskiego, przedstawiliśmy w jednym z poprzednich odcinków. Wcześniej, bo w roku 1925 zbudował prototyp popularnego samochodziku inżynier Adam Głuchowski z Krakowa. Jego nazwa – IRADAM, stanowiła połączenie imion konstruktora i jego żony Ireny.

Konstrukcja samochodziku oparta była na ramie rurowo-płytowej, która zapewniała dobrą sztywność podwozia. Do ramy z przodu i tyłu zamocowane były podwójne poprzeczne resory, na nich niezależnie zawieszone były cztery koła pojazdu.

Zespół silnikowo-napędowy składał się z jednocylindrowego silnika czterosuwowego, chłodzonego powietrzem, wraz ze sprzęgłem i skrzynią biegów. Silnik umieszczony był z tyłu i napędzał tylne koła za pomocą oryginalnych wałków giętkich, wykonanych z szeregu zazębiających się ze sobą elementów przegubowo otoczonych pochwą ze śrubowo skręconego drutu stalowego.

Tego typu rozwiązanie zostało po raz pierwszy zastosowane do napędu samochodu. Zdawało też ono w pełni egzamin w samochodziku Głuchowskiego.

IRADAM posiadał bardzo lekkie trzyosobowe, otwarte nadwozie – z jednym miejscami z tyłu dla pasażerów.
miejscami z tytułu dla pasażerow.

Samochodzik inżyniera Głuchowskiego wykonany został tylko w jednym prototypowym egzemplarzu, gdyż nie wszedł do produkcji seryjnej.

ZENON DUTKIEWICZ

Dostaliśmy ostatnio kilkanaście listów, w których prosicie o artykuł i zdjęcia koni. Spełniając Waszą prośbę drukujemy dziś wywiad ze specjalistą do spraw Hodowli Koni w Ministerstwie Rolnictwa, inż. Romanem Gągorawskim.

CO DALEJ Z KONIEM?

Konie są obecne wszędzie. W literaturze, w przysłowiach, na ekranie, w kalendarzach i na płótnach. Bo też miały „swoich" artystów, którzy im właśnie poświęcili swe umiejętności, sławiąc ich urodę, a rzadziej – ciężką, lecz nieefektowną pracę. Ta wszechobecność koni na papierze, taśmie filmowej sprawia, iż trudniej nam zauważyć, że w rzeczywistości jakby ich było coraz mniej.

Konia zawsze podziwiano, ale przede wszystkim był potrzebny. Dzięki sile umożliwiał transport i wykonywanie prac na roli. Towarzyszył ludziom w podboju ziem dotąd niezamieszkanych lub już zamieszkanych przez innych ludzi. Był, towarzyszył... A dziś?

Czy należy sądzić, że w dobie maszyn konie znikną całkowicie z naszej gospodarki i z krajobrazu? Co sądzą o tym fachowcy?

– Mamy w Polsce ponad 2 miliony koni – mówi inż. Gągorawski. – To wciąż dużo. Ale faktem jest, że liczba ta spada o jakieś 3–4% rocznie od dziesięciu lat. Przyczyny? Oczywiście, postęp w mechanizacji rolnictwa. Bo 97% naszych koni znajduje się w indywidualnym rolnictwie i właśnie tempo jego przemian – to zwłaszcza, jak rozwija się indywidualny transport, jak szybko przybywa traktorów, samochodów – ma największy wpływ na przyszłość koni. Stopniowe wypieranie ich z rolnictwa jest nieuniknione...

– Czy tradycja nie jest w stanie przynajmniej tu i ówdzie zwolnić tego procesu?

– O, na pewno nie!

– Kiedy więc konie znikną ostatecznie z naszej wsi?

– Ostatecznie zapewne nigdy. Zostaną tylko zwolnione z wykonywania dotychczasowych prac, co oczywiście zmieni całkowicie charakter końskiej populacji. Ale u nas stanie się to jeszcze nieprędko ze względu na naszą strukturę agrarną, rozdrobnienie i dużą ilość małych gospodarstw. Dopiero gospodarowanie na dużych areałach, oraz związana z tym mechanizacja, która w takich warunkach staje się rzeczywiście opłacalna, mogą wyprzeć konie z rolnictwa.

– Czy jednak nie okaże się kiedyś, że w pewnych sytuacjach koń jest nie do zastąpienia przez maszynę?

– Zapewne z czasem potrafimy skutecznie i ekonomicznie zmechanizować każdą czynność. Ale dziś nie nastąpiło to jeszcze, a koń okazuje się często rzeczywiście niezastąpiony. Wieś buduje się jak Polska długa i szeroka. I tu właśnie konie dzielnie wspomagają transport materiałów budowlanych. Można powiedzieć, że bez ich udziału nie nastąpiłby tak szybki rozwój budownictwa na wsi. Zresztą koń często opłaca się tam, gdzie nie opłaca się traktor – gdy trzeba przewieźć dwa worki cementu czy kwintal pszenicy. Jak z tego widać, na zniknięcie konia z rolnictwa w ogóle się jeszcze nie zanosi. Przynajmniej u nas...

– A gdzie indziej? W ogóle na świecie?

– Są już kraje, w których koń w ogóle nie pracuje na roli, i w transporcie. A więc np. RFN, gdzie jednak istnieje duże zainteresowanie hodowlą koni dla innych celów – sportowych i rekreacyjnych. Podobnie w Anglii, ale tam dużą tradycję mają wyścigi konne a w ogóle Anglicy lubią konie...

– Osioł jest uparty, kot fałszywy. A koń?

– Na swój sposób rozumny i chętny do obcowania z człowiekiem. Przywiązany do właściciela, gdy ten należycie go traktuje. Umiejący wyczuć ludzkie dobre lub złe zamiary. A poza tym – czysty i wymagający dobrej i czystej paszy, jeżeli ma być zdrowy.

– Jak zatem wybredne z natury konie znoszą zmiany w środowisku spowodowane cywilizacją? A więc obecność spalin, hałasy, skażenie pasz herbicydami?

– Nieźle. W każdym razie nie gorzej od ludzi. Do hałasu przyzwyczajają się bardzo szybko, zwłaszcza, że z łoskotem silnika mają do czynienia nie tylko na szosie, ale coraz częściej w zagrodzie. Wpływ skażeń środowiska na konie jest dotąd mało uchwytny. Ale cywilizacja niosąc niewątpliwie pewne zagrożenia także ulżyła koniom. Mniej mają zajęć w polu. I tu zaczyna być widoczne, że koń nie tyle ginie, ile zaczyna się przystosowywać do pełnienia nowych funkcji.

– Jakich?

– Przede wszystkim rekreacyjnych i sportowych. Jest znamienne, że wraz ze zmniejszaniem się liczby koni w gospodarstwach i transporcie rośnie wśród ludzi – zwłaszcza młodych – zainteresowanie tym zwierzęciem. A przecież 50% naszych koni – to konie szlachetne z południowo-wschodnich terenów Polski i Wielkopolski. One z czasem nadawać się będą pod wierzch. Sport i rekreacja – wyścigi, jeździectwo itd. – są wielką szansą dla koni. I dla ludzi, szukających zdrowych form wypoczynku. I jeszcze jedno: sportowe i wypoczynkowe wykorzystywanie koni w równym stopniu co gospodarcze wymaga ścisłej opieki nad koniem i dbania o niego. Więc zmiana charakteru zajęć nie powinna być dla koni niekorzystna. A poza tym zachowuje ona rzecz bodaj najcenniejszą: ścisły indywidualny kontakt konia i człowieka.

Zatem nie potrzebujemy obawiać się, że konie znikną z naszego krajobrazu. Odejdą tylko w przeszłość: obraz szkapy – żywicielki, czy Reymontowski „robotny parob". Za to można się spodziewać że z czasem zaczną powstawać Kluby Koniolubów.

Rozmawiał TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. archiwum

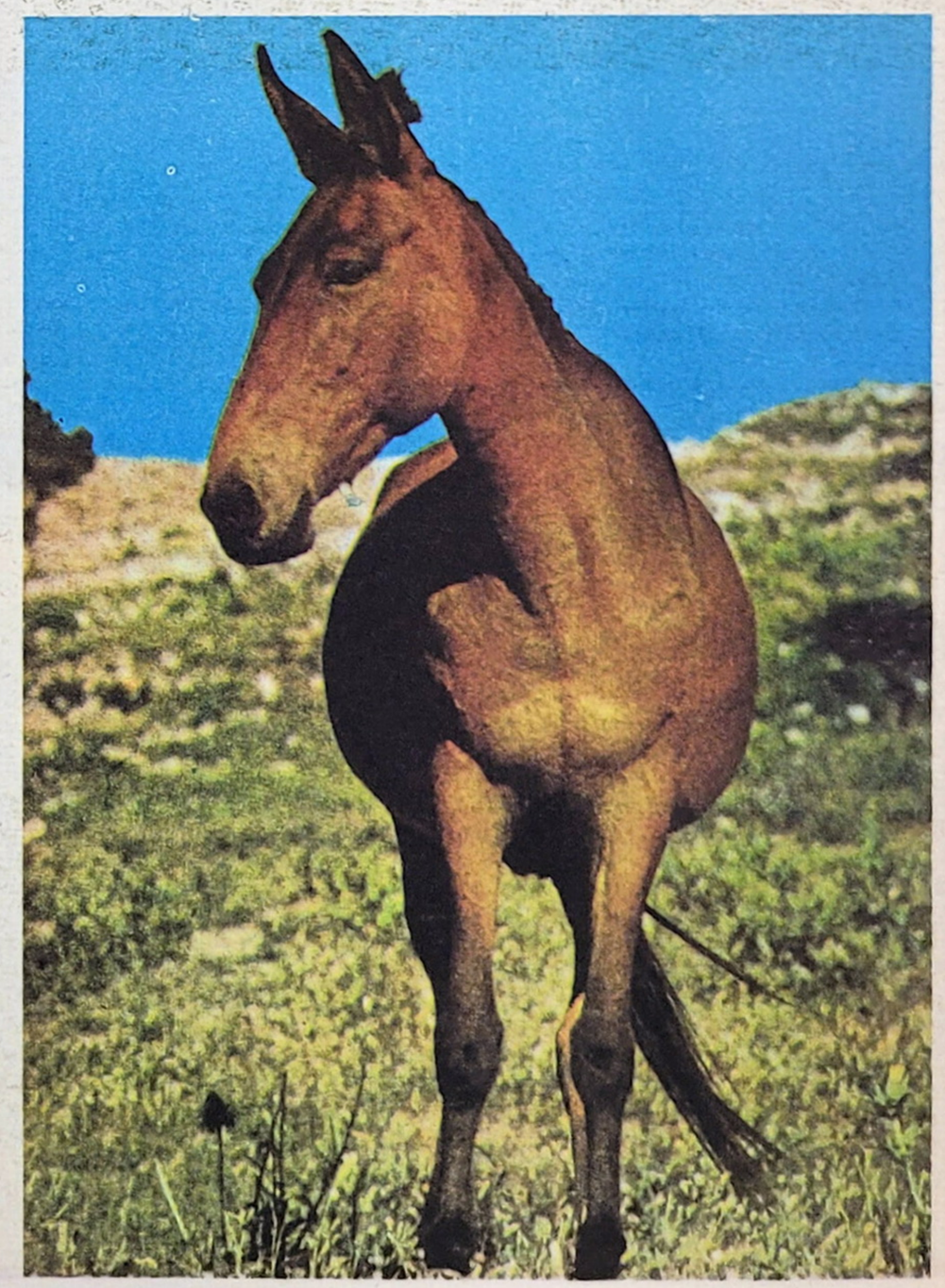

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (21)

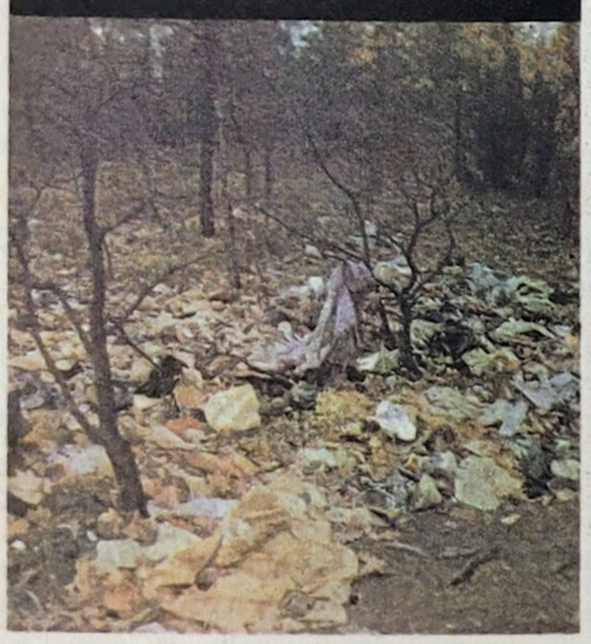

WIZERUNEK UPŁYWAJĄCEGO CZASU

Innym rodzajem dokumentalnej fotografii przyrodniczej, w który zaangażowana być musi wasza spostrzegawczość, jest dostrzeżenie i zarejestrowanie wizerunku zmieniającego się środowiska.

Robiliście zdjęcia ptaków (w waszym wykonaniu jest to na ogół fotografia czysto dokumentalna) w lesie, na bagnach. Aż nagle, w ciągu dwóch, trzech lat nie było już czego fotografować – ptaki przestały się gnieździć i przylatywać. Część przyjmie to jako fakt, ale bardziej wnikliwi zastanowią się: dlaczego?, i swoją myśl wyjawią językiem fotograficznym – przy pomocy zdjęć. Okaże się na przykład, że to dewastacja środowiska posunęła się niepostrzeżenie tak znacznie iż poza drobnymi roślinami i mikroorganizmami w ogóle nie ma tam życia. Żałować wtedy będziecie, że w waszych zbiorach brak jest zdjęć sprzed kilku lat pokazujących środowisko jeszcze niezniszczone. Wtedy wydawało się, że to co widzicie, trwać będzie wiecznie w niezmienionej postaci i zawsze zdążycie sfotografować...

Wniosek jest jeden. Jeżeli prowadzicie fotograficzne obserwacje czegokolwiek, zróbcie w najbliższych dniach zdjęcie jeszcze ogólniejszego planu. Niedługo może być już za późno. Temu celowi służyć mają zdjęcia waszego otoczenia wykonane w różnych porach roku.

Tekst i zdjęcia
MAREK OSTROWSKI

Powiedziałam: „ja bardzo lubię to nadzianko z kaczki", na co koleżanka zwróciła mi uwagę, że powinnam powiedzieć „nadzionko". Rozumiem, że poprawnie powinnam powiedzieć „to nadzienie", jeśli jednak już wyraz spieściłam, to czy dobrze?

Zdzisława

Nie. Zdrobnienie od rzeczownika **nadzienie** brzmi: **nadzionko**. Reguła jest taka: wyrazy zakończone na **–anie** w formie zdrobniałej mają na końcu **-anko** (np. zebranie: zebranko, śniadanie: śniadanko), zaś zakończone na **–enie** przybierają końcówkę **–onko**. Sprawdź na przykładach: powiedz**enie** – powiedz**onko**, jedz**enie** – jedz**onko**. Koleżanka ma rację. Życzę smacznego przy następnej kaczce.

Przy okazji proszę: nie zdrobniajcie (spieszczajcie), gdy nie ma po temu wyraźnych powodów. Toż to nasza mania ostatnimi czasy. **Kawki** czy **herbatki**? A może **ciasteczko**? Ten **serniczek** jest przepyszny!" – od tych słodkości kulinarnych i językowych mdło się robi.

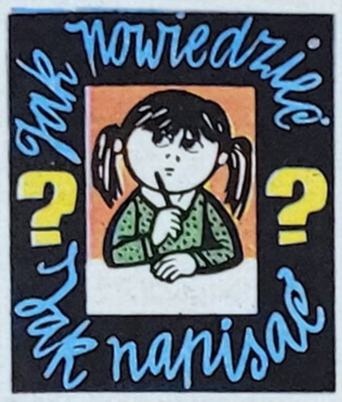

Proszę, wyjaśnij mi, jak się pisze poprawnie: „bierzemy kurs północo-wschodni" czy „północno-wschodni"?

Chciałabym się też dowiedzieć, jak brzmi dopełniacz rzeczownika (imienia) Mea. Jeżeli to objaśnisz, będę bardzo wdzięczna.

Krystyna z Brzozowej

Północno-wschodni. Można powiedzieć za to, że wiatr wiał z **północo-wschodu**, ale lepiej: z północnego wschodu.

Skoro już mamy zasłużyć na wdzięczność, to powiem Ci nie tylko to, że dopełniacz ten brzmi **Mei,** lecz dodam, że i inne rzeczowniki pochodzenia obcego kończące się na **–ea** mają w tym przypadku końcówkę **–i,** np. **idea – idei, kamea – kamei, orchidea-orchidei, gwinea-gwinei**.

Kiedyś jedna z moich koleżanek powiedziała, że będzie oglądała teatr pt. „Hamlet". Moim zdaniem powinna powiedzieć, że będzie oglądała sztukę telewizyjną pt. „Hamlet". Która z nas ma rację?

Lidka ze Szczecina

Żadna. Koleżanka nie ma racji, bo „Hamlet" nie jest teatrem. Ty – bo nie jest to sztuka telewizyjna; kiedy żył Szekspir, o telewizji nawet nie śniono. Powinno się powiedzieć po prostu: dziś obejrzę w telewizji „Hamleta".

Wasza KROPKA

Autorką tego zbiorowego portretu jest Beata Bukowiecka. Przypominam, że nieustający konkurs na najpiękniejszy portret Rzepa – trwa! Najładniejsze portrety drukuję co tydzień.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

● Dziś Spółdzielnia Krasnoludków „Pracuś" wykonała swój wiosenny czyn – skopała naszą redakcyjną skrzynkę balkonową i zasadziła kwiatki.

● Esmeralda nadaje codziennie (a właściwie conocnie) swój telepatyczny program snów o miłości.

● Wpadł wczoraj do redakcji kolega Bocian, który zimą przebywał na Bliskim Wschodzie.

● Red. Amorek fruwa gdzieś w terenie – wpada do redakcji po strzały, jak po ogień...

A propos! Napisała do mnie „Beata" taką oto skargę na kol. Amorka:

Rzepie, udziel publicznie nagany twojemu pracownikowi Amorkowi, który nie wykonuje należycie swych elementarnych obowiązków. Brak odpowiednich kwalifikacji sprawił, że kol. Amorek chybił, strzelając zgodnie z obietnicą, w serce Zygmunta!...

A inna moja Czytelniczka pisze tak:

Rzepie, wiem, że redaktor Amorek już obudził się z zimowego snu, wiem także, że masz u niego „plecy". Poproś go, żeby strzelił celnie w serce Jarka! Niech i on czuje to samo co ja.

„Kaśka"

Nie wiem, kochane Czytelniczki co Wam odpowiedzieć. Kol. Amorek dwoi się i troi, więc jakość jego usług przeszła być może w ilość?! Boję się teraz do niego zbliżać, bo strzela do każdego bez ostrzeżenia! Obydwie sprawy załatwię z nim korespondencyjnie.

* * *

Kącik poszukiwań

Leszek Gadomski zgubił adres Sławka Sawickiego, a chciałby z nim korespondować. Oto adres Leszka: ul. Sochaczewska 10/30, 05-890 Leszno k/Błonia

* * *

Nasz redakcyjny komputer obliczył ostatnio, że życie człowieka trwające aż 80 lat, to w rzeczywistości t y l k o 42 miliony minut! Nie traćmy ani minuty!

Do zobaczenia!

Wasz RZEP

Kto odczyta słowo „napisane" kodem sygnałowym na tym rysunku?

RZEPKLUB

Żart rysunkowy zamieszczony poniżej pochodzi z kolekcji Andrzeja Wojdata, którego przyjmuję do klubu.

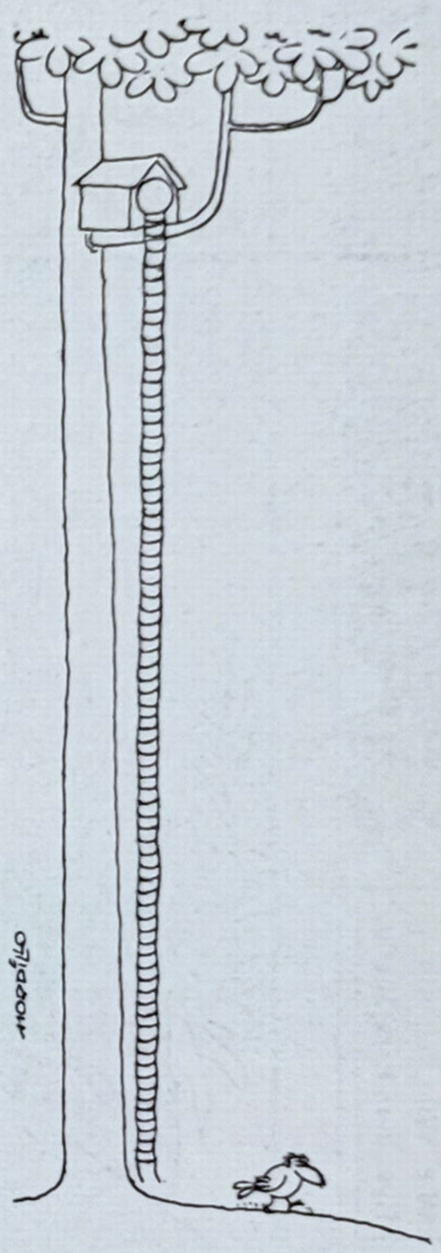

Wojdata

Miałem na myśli siebie, jako że mimo przygody z Bajeczką uważałem się za człowieka poważnego i odpowiedzialnego. Byłem przekonany, że podczas wspólnie spędzonego rejsu objawię przed Panią Księżyc wszystkie swoje zalety.

– A Bajeczkę znajdę – stwierdziłem z przekonaniem. – I rozmówię się z nią na temat tego, co zrobiła. Wyjaśni mi, kto kazał jej podrzucić mi pozłacaną rękawiczkę.

Tak było w Iławie, na początku naszego rejsu, który, jak wiecie, nie z mojej winy zaczął się z dużym opóźnieniem. A teraz, pod wieczór, wbrew moim ostrzeżeniom przed burzą, Pani Księżyc postanowiła pozostać na jachcie i zrobić dla nas kolację, a ja dla świętego spokoju podporządkowałem się jej rozkazom.

– Panowie zrobią dziś kolację. – Pani Księżyc zwróciła się do mnie i do Psychologa.

Zerknąłem w niebo, po którym nadciągał ogromny cumulonimbus i zaprotestowałem:

– **Mężczyźni** powinni zwinąć starannie żagle i zabezpieczyć je przed rozwinięciem przez huragan. Należy także dobrze umocować kotwicę. Kolacja to sprawa kobieca.

– Oooo? – wąskie, czarne brwi Pani Księżyc uniósł do góry wyraz zdumienia – Czy pan, broń Boże, jest przeciwko równouprawnieniu? Ja i Kika równie dobrze możemy zwinąć i zabezpieczyć żagle oraz zamocować kotwicę. Umówmy się, że na jachcie będziemy stosować zasadę partnerstwa.

Cdn.

i podejrzliwości był jej stosunek do mnie, choć przez długi czas nie dałem jej żadnego powodu do takiego traktowania mojej osoby.

Ale historia z oszukańczym telegramem, Bajeczką i podrzuconą mi rękawicą w jej wyobrażeniu „obnażyła moją prawdziwą naturę", jak to określiła.

– Pierwszą lepszą dziewczynę wziął pan na jacht! – ze zdumieniem kręciła głową. – I tak miał pan dużo szczęścia, że pana nie okradła.

– Wyglądała na bardzo porządną dziewczynę i naprawdę potrzebowała pomocy – tłumaczyłem się jak sztubak.

– Mógł pan okazać pomoc, wyszukując dla niej nocleg w hotelu albo domku campingowym. Ale pan ją od razu zaprosił na nocleg do kabiny. Bo była ładna, prawda? Ci, którzy ją wysłali, doskonale zdawali sobie sprawę, jaki pan jest naprawdę, Panie Samochodzik. Każda ładniejsza dziewczyna może mu zawrócić w głowie i wodzić za nos.

– Pan Tomasz postąpił jak dżentelmen – usiłowała mnie bronić Kika.

Ale i jej się za to dostało.

– Ja wiem, że ty Kika, jesteś bardzo nowoczesna – stwierdziła Pani Księżyc. – Dwukrotnie nawet umykałaś z domu, wyruszałaś w Polskę autostopem. I to mając czternaście lat! Pozwól sobie powiedzieć, że zarówno postępowania pana Tomasza, jak i twoje jest fałszywie pojmowaną nowoczesnością.

– Zgadzam się z panią – przyznałem ze skruchą. – Nie należy uciekać z domu w wieku czternastu lat, nie powinno się też przyjmować na nocleg w jachcie nieznajomych, ładnych dziewcząt.

Tak mówiłem, albowiem pragnąłem na jachcie harmonii i zgody, a poza tym byłem rzeczywiście przekonany, że nic dobrego nie wychodzi z ucieczek z domu w wieku czternastu lat. Zawsze też potępiałem siebie za skłonność do ładnych kobiet.

Obecność Pani Księżyc na pokładzie mego jachtu także wynikała z owej skłonności, jako że była to kobieta bardzo ładna, choć, jak wspomniałem, niezwykle oschła i zimna. Łudziłem się jednak, że rejs po jeziorze odpręży ją i Pani Księżyc stanie się miła i sympatyczna. Zresztą – a nie było to bez znaczenia – należała ona do nielicznego grona osób, które przed laty spotkały i rozmawiały z autorem „Złotej rękawicy".

– I jak ona kazała się nazywać – pytała ironicznie Pani Księżyc.

– Bajeczka – powiedziałem ze spuszczoną głową.

– Bajeczka? – roześmiała się Pani Księżyc. – Takich mężczyzn jak pan najłatwiej nabierać na bajeczki. Ładnie wyglądające i ładnie ubrane. Mój były mąż także dał się nabrać na jakąś bajeczkę. Mój Boże – westchnęła – czy ja kiedyś w życiu spotkam człowieka, który będzie poważny i odpowiedzialny, i nie da sobie zawrócić w głowie dziewczynie ubranej w suknię ze słonecznikami i haftowaną bluzkę...

– Ależ na pewno – pospieszyłem z odpowiedzią. – Kto wie, może jeszcze podczas tego rejsu pozna pani takiego człowieka.

LEOKADII

SPORTOWE ŻYCIE LEOKADII

W.K. Wij
Rys. Ewa Przyjemska

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-38-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Nr. zam. 2235/G S-10

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

Zacumowaliśmy jacht tuż przed Szałkowem. Zgodnie z wcześniej opracowanym planem postanowiliśmy rozmawiać z mieszkańcami zarówno Szałkowa, jak i pobliskiej Woli Kamieńskiej i Kamienia, dotrzeć pieszo nawet do wsi Windyki.

Był już późny wieczór, bo ławę opuściliśmy późno, a wiatr mieliśmy przeciwny do kierunku naszej drogi i w wąskiej rynnie jeziora trzeba było nieustannie halsować. Upłynęliśmy zaledwie kilka kilometrów, gdy wiatr zupełnie ucichł, żagle obwisły jakby zmęczone nawet tą krótką pracą. Ale też przez cały dzień panował skwar, słońce piekło niemiłosiernie, płucom brakowało powietrza.

Spojrzawszy jednak w niebo widziało się, że tam gdzieś w górze trwa wiatr i popycha z północy coraz większe i czarniejsze zwaliska burzowych chmur.

– Zdaje mi się, że powinniśmy starannie zwinąć wszystkie żagle – stwierdziłem. – I dobrze zamocować kotwicę. Czeka nas koszmarna noc i może nie byłoby źle, gdyby niemal cała załoga opuściła łajbę i poszukała sobie noclegu w jakiejś stodole. Ja pozostanę na jachcie i dopilnuję, żeby nie roztrzaskał się o brzeg.

Pani Księżyc wzruszeniem ramion przyjęła moje słowa.

– Czy pan aby nie przesadza? – zakpiła. – Prawdopodobnie tej nocy rzeczywiście będzie burza. Ale kilka ich już przeżyłam na jachcie i nie widzę powodu, żeby opuszczać łajbę.

Wśród członków naszej załogi składającej się z mojej osoby, Kiki, Psychologa i Pani Księżyc, oprócz mnie tylko Pani Księżyc miała pewne doświadczenie w pływaniu i dokonany przed piętnastu laty wpis „żeglarz" do książeczki żeglarskiej. Ale od tamtego czasu Pani Księżyc chyba zapomniała jak to jest, gdy ma się pod nogami nie płyty chodnika w mieście, ale chwiejną podłogę jachtu. Myślę, że nie zdawała sobie zupełnie sprawy, co to znaczy przyjąć burzę w wąskiej rynnie jeziora okolonego lasami i wzgórzami. Jezioro stanowi wtedy coś w rodzaju ogromnej dyszy, w której pęd burzy jeszcze się wzmaga, a fala wzrasta niekiedy do olbrzymich rozmiarów. Lecz Pani Księżyc była osobą, jak to się określa, apodyktyczną, przyzwyczajoną do tego, że słuchało się jej w biurze. Bez szemrania wypełniał polecenia także jej syn. Również i mnie – może dlatego, że byłem kawalerem i miałem młodzieńczy wygląd – traktowała jak wyrośniętego nad swój wiek chłopca, którego należy nieustannie strofować i pouczać.

– Zwiniemy żagle, zamocujemy kotwicę i spokojnie położymy się spać – oświadczyła tonem zamykającym wszelką dyskusję. – Jesteście głodni i musimy zjeść kolację. O żadnym noclegu w stodole nie ma mowy!

W porządku – mruknąłem. – Ale niech pani pamięta, że ja ostrzegałem...

Wyznaję ze skruchą, że gdy Pani Księżyc podejmowała jakąś decyzję, nawet sprzeczną z moim przekonaniem, zazwyczaj ustępowałem. Nie chciałem konfliktów na jachcie, zależało mi na tym, aby nasz rejs doszedł do skutku i odbywał się w harmonii. Pani Księżyc była osobą oschłą, choć bardzo ładną, zimną, dumną i nieprzystępną. Dlatego właśnie nazwałem ją Panią Księżyc. Ale o tej nazwie wiedziała tylko Kika; nikt z nas dwojga nigdy przy niej nie wypowiedział tego przydomku, bo lękaliśmy się, że obrazi się na nas śmiertelnie i zrezygnuje z rejsu. W stosunku do mężczyzn zachowała postawę pełną rezerwy i podejrzliwości, jako że przed dziesięcioma laty, gdy miała trzyletnie dziecko, porzucił ją mąż, rozwiódł się i ożenił z inną kobietą. Zapewne od tamtego czasu mężczyźni wydawali jej się wiarołomcami, kłamczuchami i ludźmi nieodpowiedzialnymi. Również pełen rezerwy

Dokończenie na str. 7